

21936
(*Ner.* 3.)

DZIEDZILIA

CZYLI

Pamiętnik Płocki,

pięknéj Literaturze poświęcony.

*Pismo peryjodyczne dla użytecznéj zabawy
Rozumu i Serca.*

Miesiąc Wrzesień Rok 1824.

Wolno drukować.

J. K. SZANIAWSKI, R. S. D. J. W. P.

SZRAMA.

PIEŚŃ I.

Niebo wojną ziemi grożące w posępną przyoblekło się szatę, mgliste chmury niosły od zachodu groźne dżdżu i piorunów brzemie. Na odgłos huczącego wихru wpośród czarnej kniei, zdawało się, że wszystkie nocne mary i duchy piekielne na to jedno zgromadziły się miejsce, aby zapuszczającym się wśród nocy w ten las ciemny straszny obraz piekła wystawić. Kołyszące się wiérzchołki stuletnich dębów i sosien przerażający wydawały szelest, którego okropność pomnażały skłócone Dniestru bałwany.— Nagle zagrzmiało Niebo: dzień się ukazał i zniknął, pękły chmury, i wylały na ziemię liczne wód strumienie. Za każdym odgłosem ryczącego gromu, rześistszy deszcz wylęwały chmury, które migający błysk szarpać się zdawał.— Noc była ciemna i okropna, zgaśnięty księżyc okazały i iskrzące się gwiazdy; nic niewidac, prócz iasných łun, migających się na zachodzie, nic niesłychać, prócz grzmiących piorunów i świszającego wiatru, noc ta była przerażającym

obrazem wrzących namiętności człowieka, albo zgryzot czarnego sumienia.

W tej straszliwej puszcy, na której widok zdrząłoby najodważniejsze serce, w tej puszcy mieszkał spokojny ślachcic. Przy swojej chudobie, przy skromnej mierności, nielekka się zawiści złych ludzi, i przy cnotcie złe nietrwożyły go duchy. Otoczony lubą rodziną, daleki oka zazdrośnych, pracował we dnie wesoło, a w gronie dzieci niewinnych miłe przepędzał wieczory. Gdy łoskotna fala miotać zaczęła z okropnym szelestem konarami dębów, a wilgotne powietrze zimnem przejmowało, dorzuciwszy drewek do palącego się ogniska, obsiadła niewinna družyna kominek do koła. Dzieci, rzekł Ojciec, my tu spokojne przepędzamy chwile, my się grzejemy przy ogniu, kiedy może niejeden podróżny, błędząc w grubych cieniach nocy, przemokły, zimnem przejęty, na próżno upatruje, gdzieby mógł się schronić przed słotną falą. Oby Bóg do nas jego nakierował kroki, tuby znalazł spoczynek, tubyśmy go z ochotą przyjęli. Niestety! może gdzie w nieznannej krainie brat wasz Kazimiérz wygląda podobnej ludzkości. Boże! ty miej nad nim opiekę, wszakże on poszedł pomnożyć liczbę obrońców Ojczyzny.

Wspomnienie Kazimiérza, którego na od-

głos wojny, ani przestrogi Ojca, ani łzy Matki zatrzymać w domu niemogły, zasmuciło wszystkich. Ponure nastąpiło milczenie, nikt nieśmiało przemówić, i każdy myśl swoją posłał w tę stronę, gdzie się udał Kazimiérz. Świetna to była wyprawa, sam Król Jan Albrycht dla poskromienia hardych bisurmanów miał jej przewodniczyć. Ojciec, siedząc przy kominku, rozmyślał, jak syn jego w obecności Króla, dając dowody niezrównanego męstwa, łaską jego zaszczycony będzie: widział ściérające się szyki, a wszędzie syna na czele, i uniesiony tak pochlebnym obrazem, uśmiechnął się mimowolnie. Spojrzał po wszystkich, a widząc zasmucone twarze dzieci, i Matki, która łzy wylęwała, wystawiwszy sobie od ran i krwi przelanej ginącego syna, chcąc rozweselić zasmucone umysły, rozkazał co zaśpiewać starszej swój córce Urszuli.

PIEŚŃ URSZULI.

Jak w poranku lubej wiosny,
Ogrody, łąki i gaje,
Wszystko okrywa uśmiech radosny,
Świat cały żywym się zdaje.

Wnet lato zdołi świeżemi kwiaty
 Ziola i krzaki i drzewa:
 Ziemia się stroi w barwiste szaty,
 I zielonością odziewa.

Ten kwiat nakoniec w późnej jesieni,
 Co tylko czezą był ozdobą,
 W dojrzały z czasem owoc się mieni,
 I gnie gałęzie pod sobą.

Tak człowiek z razu płacziwe dziecię,
 W niewinnej żyje pomroce,
 Cieszy się szczęściem w młodości kwiecie,
 W starości zbiera owoce.

Wstrzymaj się, córko moja, przerwał Ojciec, którego rysy twarzy tajemną niespokojność zdradzały, zdaje mi się, żem dosłyszał tentent zbliżającego się konia. Ledwie wymówił te słowa, gdy silném ramieniem drzwi poruszone otworzyły się. Wszedł Rycerz, na którego twarzy okropność jakaś osiadła, jakby jej uśmiech nigdy okrasić niezdolał. Bystre oczy, które za najmniejszym zwracał szelestem, odkrywały niespokojność duszy jego: ta postać ogromna, której zwieszono wasy pomnażały posępną okropność, zdawała się być otoczona od duchów piekielnych, w towarzystwie zgryzoty i trwogi. Taki widok przeraził serca niewinnej fa-

milii, dzieci małe jedne tuliły się do łona swiej Matki, drugie cisnęły się do kąta, aby tam nie-dojrzane wszystko widzieć mogły. Gościnnie Ojciec prosi go siedzieć, nie dał się długo nakłaniać posępny Rycerz; usiadł, a padający blask migotliwego płomienia, oświecił twarz jego ponurą.

Z początku długie trwało milczenie, bo sam Rycerz nie był do tego skwapliwy, a straszna jego postawa śmiałość odebrała wszystkim. W krótkce jednak dowiedziano się, że śpieszył do obozu Polskiego. Osmielona Matka zaczęła mu opowiadać o swoim Kazimierzku, jak to jest chłopiec odważny, rozsądny i piękny: bo Matki zwykle wszystko dobre w dzieciach swoich widzą; i zdaje im się, że taka rozmowa wszystkich zabawić powinna. Słuchał jej z obojętnością Rycerz ponury i wszystkie zabiegi gościnności z oziębłością przyjmował, jakby je nie z dobrego serca lecz z musu odbierał.

Niedługo i dzieci ze swoich powychodziły kryjówek, i za przykładem Rodziców zbliżały się do Rycerza, jak bojaźliwe myszki nieśmiało wychodzą z jam swoich dla szukania żeru. Jedno z nich śmielsze bawić się nawet zaczęło z rękąjęścią szabli, inne potrząsały frendzlami jego pasa. Roześmieli się z dziecięcą zabawą Rodzice, dziki także uśmiech, osiadł na

twarzy Rycerza. Jedno z nich, aby się lepiej zabawić z srebrzystym pasem, odsunęło przemo-
kłą burkę, którą Rycerz okryte miał barki.
Lecz przebóg! co za okropność, krew jeszcze
nieoschła ściekała po białym żupanie: przera-
żone dziecię z milczącą bojaźnią cofnęło się do
Matki, i na jej łonie już bezpiecznie z trwogą
jednak poglądało na zakrwawioną szatę. Po-
strzegli to Rodzice, i starali się pokryć to wszy-
stko: lecz baczny Rycerz dorozumiał się trwo-
gi dziecięcia, i zastłoniwszy nagle zboczony żu-
pan, badającym wzrokiem wpatrywał się w twa-
rze Rodziców. Niemogli znieść srogości wej-
rzenia, lękali się, aby gniew jego niezwrócił
się na nich. Baczny Ojciec, choć mu w tej
mierze niewiadomość swoją pokazać, przywołał
Urszulę, i kazał jej pieśń jaką Rycerską zanucić.
Niewinny rumieniec okraślił lica dziewicze, al-
bowiem prócz Rodziców nikt jeszcze jej głosu
nie słyszał, posłuszna jednak Ojcu wzięwszy do
rąk teorbę i śmiećniami po jego stronach bie-
gając palcami, takie rymy spiewać zaczęła.

Kiedy Bolesław zasiadał na tronie,
Był mąż urodą i rycerstwem sławny,
Miłość mu laurem opasała skronie,
Śmiały w natarciu i w odwodzie sprawny.

Gdy Morawianie wpadli w nasze ślaki,
Król widząc zapał i męstwo Rycerza,
Sam uśmierzając burzliwe Krzyżaki,
Jemu los kraju i wojny powierza.

Zaledwie surmy dały znak do boju,
Żeliszaw pełen bohaterkiej dumy,
Krwia, potem złany wśród krwawego znoju,
Walczy i gromi najeźdnicze tłumy.

Błysk jego miecza i rażące ciosy,
Były gromami dla trwożliwej rzeszy,
Wszędzie zwyciężkie wznoszą się odgłosy,
Ochocza na bój za nim młodzież spieszy.

Ale uniesion zapałem zbytęcznym,
Gdy obskoczony krwawą walkę wsczyna,
Straciwszy prawą w boju niebezpiecznym,
Sam lewą głowę zwycięzcy ucina.

W powrocie wszędzie hołd wdzięczności zbiera,
Jaśniejąc chwałą i rycerską cnotą,
Władca nagradza męstwo bohatera,
Za utraconą daje rękę złotą.

Bez niej Żeliszaw, lecz z wawrzynem sławy,
Zwycięzca Moraw stanął przed swą miłą:
„Widzisz tę bliźnię i ten puklerz kwawy;
„Czy się twe dla mnie serce niezmieniło?”
„Niesądź Rycerzu, bym była tak płocha,
„Rzekła dziewica, lubiłam twe wdzięki,
„Cnotałwa Półka więcej męstwo kocha,
„Pięknym mi jesteś, chociaż i bez ręki.”

W krótkie weselne gody się zaczęły,
 Połączył ślubem Kapłan parę młodą,
 Łzy rzewne z oczu przytomnym płynęły,
 Tak piękność męztwa stała się nagrodą.

Błysnęła jasność i znikła, po chwili dał się słyszeć odgłos ryczącego gromu, po którym szelest kroplistego deszczu nastąpił. Zadrżała chata, pobożna Matka a za nią wybladłe dzieci wołają *a słowo ciałem się stało i t. d.* Raz jeszcze niebo zagrzmiało, raz jeszcze te słowa powtórzyli, gdy nagle drzwi się otworzyły, i ukazał się młody Rycerz świeży, jak kwiat polny w miłej wiosennej rozwinięty porze. W nieładzie jasne włosy na czoło mu spadały, twarz rumiana i oczy błękitne, co się zdawały być miłości i śmiechom przeznaczone, malowały niespokojność wewnętrzną. Postrzegłszy go Rycerz posępny, wścickłością cały zapłonął, rozogniło się czoło jego, zaiskrzyły oczy, porwał miecz i już go miał w młodzieńczym utopić łonie, gdy przecie krzyk dzieci potrwożonych i płaczącej Matki wstrzymały zapęd mściwy. — Wiem, piorunującym zawołał głosem, co cię w tę za mną przyprowadza stronę, zemsta niepozwała i mnie i tobie ani chwili zwłoki, lecz szanujmy te święte progi gościnności, pójdź ze mną w ten las czarny, jeśli chcesz swego doświadczyć ramienia,

tam się spotkamy przy blasku bijących piorunów.

Dobrze, odpowie młodzieniec, tam się spotkamy przy blasku bijących piorunów, bo oczy twoje stały się już niegodne słonecznego światła. — Wyszli obadwa, już ich niebyło, a jeszcze trwoga pozostała po nich, jeszcze ich obraz sercom i myśli strwożonych był przytomny. — Noc płaszczem swoim okryła ich walkę, niebyło widać w grubych ciemnościach ich męztwa i wzajemnej zapalczywości, ciężkie tylko ciosy ich mieczów słyszeć się dawały, które głuchy odgłos powtarzał. W krótkę i to ustało, a posępne mieżenie cichą trwożę w sercach budziło.

Jakiż był koniec tej okropnej walki? zginął powabny młodzieniec, jak kwiat wiosenny, płytką podcięty kosą, śmiertelna bladeś okryła mu lica. Próżno chciał męstwem słabe jęszce siły zastąpić, upadł pod ciężkiem ramieniem, a morderca jego dosiadłszy konia śpiesznie plac boju opuścił. Ostoniwszy się burką, po której krople wody dziurkiem spadały, spinał ostrogami konia, aby z tych miejsc okropnych, które mu w myśli krwawy obraz ponawiały, co prędzej się oddalić. Napróżno jednak usiłował ująć przed groźbą sumienia, ciągle widział przed oczyma obraz swoich zbrodni. Tak stał w gęstym lesie ugodzona ciosem myśliwca,

w zamiérzchle zapuszcza się knieje, niosąc z sobą wszędzie pocisk śmiertelny, i własną krwią naznaczając ślady swojej ucieczki.

Już nie tak często grzmiące odzywały się pioruny, już tylko niekiedy jasność błyskawicy zapalała niebieskie sklepienie, rzęsisty deszcz jednak nieustawał jeszcze. Przemiękła ziemia często usuwała się pod nogami rumaka, a ilekroć się potknął, Rycerz, jakby ze snu w czarnych swoich myślach przebudzony, to, co dopiero miał przytomne w wyobraźni, zdawał się postrzegać w ciemnościach. Nieraz cień zabitego młodzieńca stawał mu przed oczy, i groził swojemu mordercy, nieraz mu krwawą ukazując ranę, zemstę poprzysięgał srogą. Próżno chciał Rycerz tę myśl smutną oddalić, nieopuszczała go nigdy, jak cień swojego przedmiotu. Sam sobie nieraz niemęzką wyrzucał trwogę: czemuż, mówił, próżno się lękam, czyliż urojone gminu wieści mają mnie przerażać? nie on pierwszy z mojej poległ ręki, czemuż drzę, jak liść suchy wiatrem północy owiany? nigdy jeszcze piekło niedoświadczyło na mnie swojej siły, a przecie się lękam. Niebaczny nie wiedział, że to straszne piekło w sercu jego umieszczone było.

Puściwszy wolno cugle biegunowi, dozwolił mu iść w którąkolwiek stronę, bo w po-

śród takich ciemności, ani drogi, ani śladu pobytu ludzkiego rozpoznać niemożna było. Zastłonił burką oczy, aby ciekące z czapki krople na twarz mu niespadały: lecz czyliż ta prawdziwa była tego przyczyna? nie, był on wytrwały, silny i w obozach do słót i niewygód nawykły, niechciał tylko widziéć przedmiotów swój trwogi.— Zawsze jednak stawał mu przed oczami młodzieniec, który dla tym większego udręczenia mordercy swego prowadził za rękę nadobną Helenę. Niestety, mówił zabójca, miałażby i ona tak wielkie ofiary ze wzgardą odrzucić? czyliż nie dla niej tyle wykonałem zbrodni? czyliż nie dla niej ręka moja we krwi się niewianej broczyła?

Jeszcze go zajmował ten obraz, gdy głos jakiś grobowy obił mu się o uszy.— Otwiera oczy, podnosi głowę, patrzy, lecz próżno w grube zapatruje się cienie, mary tylko piekielne zdawał się postrzegać na krzakach.— Stanął, trwoga wewnętrzna poruszyła krew w jego żyłach, biło mu serce, uchwycił rękojeść pałasza, aby w każdej chwili do obrony był gotów. Głos, co go takiej trwogi nabawił, co chwila wyraźniejszym się stawał. Poznał nareszcie Rycerz, że to była pieśń jakiegoś młodzieńca, a sądząc z niektórych dosłyszanych wyrazów, była poświęconą miłości. Schował do pochew pałasz,

mówiąc, niebędzie on moim przeciwnikiem.—
Lecz w krótkce nowa ogarnęła go trwoga, pó
kilkakroć imie Heleny rozchodząc się po knieci,
boleścią przejmowało mu serce.— Miałżeby to
być Wisław, miałżeby powstać z grobu, aby
ściągąć nieustannie swego Rywala, i niedać mu
i chwili wytchnienia? Nakoniec już zbliśka i do-
syc wyraźnie następną pieśń dostyszał.

Byłem ja niegdyś choży, nadobny,
Pókim cię nieznał Heleno,
Dziś do wyschłego listka podobny,
Po lasach tulam się jeno.

Wszystkom poświęcił drogiej Helenie,
Gardziłem pracą i znojem,
Życiebym oddał za jej spojrzenie,
Bo ona życiem jest mojem.

Ale niestety! napróżno wdychał,
Do tak wielkiej szczęśliwości,
Los mnie zawisny od niej odpychał,
Nie zaciągając miłości.

Ja dla Heleny własną krew leję,
Kiedy podobno niestała,
Mnie zostawując płonną nadzieję,
Innemu serce oddała.

Lecz sroga zemsta gniew mój zapala,
Krwia zdrajcy muszę się skropić:
Będę do śmierci szukał Rywala,
By mu miecz w piersiach utopić.

Już tedy niewątpi czarny Rycerz, że ma
Wisława przed sobą, zwraca oczy i poznaje go
o tej minie nadobnej, po tym iskrzącym się
wzroku. Zadrżało mu serce, dobywa miecza
woła:— Ktokolwiek jesteś, zatrzymaj się; czyś
człowiek, czyś duch piekielny w ludzką przy-
odziały postać, musisz się spotkać ze mną.—
Nic na to milcząco niewyrzekło widmo, i tylko
stapanie konia po wezbranej kałuży, posępny
wydawało odgłos.— Szukasz Rywala, ozwał się
Rycerz powtórnie, oto masz go we mnie, ja ko-
cham Helenę. Tu widmo posępne straszny głos
wydawszy, z dobytym mieczem na Rycerza
wpada, strwożonemu i zaledwo władającemu
orężem mając raz ostatni zadać, gdy nagle, wstrzy-
mawszy swój zapęd opuściło pałasz mówiąc: „nie,
to nie ty kochasz Helenę.” Zimny pot wystąpił
na czoło Rycerza, bo chociaż był odważny i sil-
ny, lękał się jednak nierównej walki z duchem
piekielnym, a drżący wpatrując się w niego,
bojaźliwym rzekł głosem: „nie, to nie ty jesteś
„Wisławem.”

Rycerz, który przypadkiem był wzięty ducha Wisława miał imię Zbigniewa. Młody powabny czuł w sobie ślachtetną dumę, i zniechęcił się, że w sercu nadobnej Heleny drugie tylko zajął miejsce. Odważny, silny i mściwy postanowił nie dać nigdy spokojnie używać szczęścia Rywalowi swojemu. Gdy jednak otworzyło się pole sławy, chciał w morderczych i okrutnych walkach, i we krwi mieczem swoim wyłanę znaleźć, chociaż na chwilę, ochłodę miłości.

Widział drżącego przeciwnika i zdumną wzgardą spoglądał na niego, niewiedział jednak jak ciężkim ramie jego było. Silny i wytrzymały Szrama nigdy jeszcze przed człowiekiem nie zdrzął; świeżo tylko wykonane zbrodnie zrobiły umysł jego skłonniejszym do uwierzenia w najdziwniejsze widziadła; a wyrzut sumienia dręcząc go nieustannie i stawiając mu przed oczy obraz krwi zbrozonego Wisława, uczynił go bojaźliwym w grubych ciemnościach.

Obudwu Rycerzy był jeden cel podróży, razem przeto w dalszą udali się drogę. Jechali nie niemówiąc do siebie, mileżący w ponurym zamysleniu więcej do marmurowych posągów, niżli do żywych ludzi podobni. Już deszcz wolna ustawał, posępne rozchodziły się chmury, a jasny promień słońca złocił wierzchołki wybujałych sosien. Błękitna wypukłość niebieskiego

nieba, i świeżą zielonością oddychające rośliny zdawały się witać dobroczynne słońce, które swoim powrotem miało pocieszyć strapioną naturę. A ziemia, wytrzymawszy w nocy srogą namiętność burzonych żywiołów walkę, świeżym przydziałem się wdziękiem, i wonnym tchnieniem napawała powietrze.

PIEŚŃ II.

Przyjemnie podróż odbywać w towarzystwie z zaufanym przyjacięciem. Wszystko w tedy podobać się może, wszystko zachwyca urodzeniem piękności. Tu się z wyniosłego pagórka przyglądają wschodzącemu słońcu, tu jeden ukazuje drugiemu wspaniały widok wodospadu, tam się przysłuchują wdzięcznym słowika śpiewom. Nie taka była podróż naszych dwóch Rycerzy, jeden zemstą, drugi zgryzotą miotany, w sercu swoje ukrywali myśli. Już słońce uszło połowę swej drogi, już od miejsca spotkania znacznie się oddalili, a jeszcze z nich żaden uroczystego nieprzerwał milczenia.

Utrudzone konie potrzebowały posiłku i wytchnienia, nie niemówiąc do siebie, przed najpiękną gospodą stanęli. Ochetny gospodarz

uwijał się, ile mógł, dla usłużenia wszystkim, chciałby się rozerwać, aby być na zawołanie każdego. Ten siana, ten piwa, ten wódki woła: ci jedzą, ci piją, ci skaczą; gwar powszechny, nasi tylko rycerze posilali się w milczeniu za stołem. — Słyszeliście, rzekł ktoś wyraźniejszym głosem, o straszonym wczorajszej nocy przypadku. Starosta Kaniecki Gniwomir okropnie zamordowany został, a wszędzie rozesłani gońce szukają zbrodniarza. Tu różne szczegóły opowiadać zaczęto, ten mówił, że widma jakaś już dawno przed ludźmi śmierć jego zwiastowała, tamten, że zaraz po zgonie duch nieboszczyka w całym zamku wszystkie potłukł okna, i że dopóty rozliczne szkody wyrządzać będzie, dopóki morderca jego niezginie. Wszyscy zaś w ogóle z jego śmierci cieszyli się, mówiąc, że go Bóg za popełnione występki, i za pokrzywdzenie tylu niewinnych sprawiedliwie ukarał.

Z obojętnością słuchali nasi Rycerze tej rozmowy: zdawali się jej nieuważać wcale. Wstawszy nakoniec niemówiąc do nikogo ani słowa, wysłi, konie ich po krótkim wytchnieniu do dalszej drogi ochoczo ryły ziemię twarzędmi kopyty, a pyszniąc się z ciężaru, jaki niosły, wesolém poglądały okiem. Ruszają, a lekki powiew zachodniego wiatru kurz daleko z pod koni unosił. Już się o milę od owej oddalili

go-

pody, gdy Zbiegniew długie i ciągnęte tém słowem przerwał milczenie: Słyszałeś? „Słyszałem,” odpowiedział Szrama.

Znowu ponure milczenie, gdy dopiero po niej jakim czasie ozwał się Szrama: „Znałeś Gniwomiera? Znałem, rzekł Zbiegniew, lecz bym go nigdy znać niechciał, gdyby nie miał syna.” Znałeś tedy i zbrodnię jego, ozwał się Szrama powtórnie, ale jeszcze nie wszystkie zapewne a najmniej tę, którą na mnie spełnił, lecz to ramię umiało się pomścić krzywdy swojej. To więc ty jego zabiłeś, zawołał z podziwieniem Zbiegniew. Ja, odpowiedział Szrama. Nie myślał on o tём, iżby swój czyn wyjawić, lecz jak się często zdarza, pospolicie sam zbrodniarz bywa narzędziem swój zguby. Mimowolnie więc się wymówił, lecz to wymówiwszy, już się zapierać nieumiał.

Wiész tedy, mówił dalej Szrama, z czyj Gniwomir padł ręki, lecz niewiesz jeszcze, co tę rękę uzbroiło przeciw niemu. Abyś zatem ze zgonu zbrodniarza o moim czynie niesądził, opowiem ci pokrótce szczegóły tego okropnego zdarzenia. Dziedzictwo moje przyległe było Starostwu, gdzie także w pobliżu mieszkał dosyć majątny ślachcic: córka jego Helena była przedmiotem mojej miłości. Młoda, nadobna, jak pączek rozwiniętej róży, była największego uwiel-

Dziedzilija Tom I. Nr. 3.

bienia i kochania godną. Kochałem ją, Ojciec jej nieunosząc się pochlebną nadzieją, nie szukając bogactwa, lecz tylko szczęścia dla swjej córki, na nasz związek zezwalał. Zbliżała się pożądana chwila, której z niecierpliwością oczekiwałem, gdy okropny wypadek albo raczej dumą nienawistnego Starosty całą moją pomyślność zniszczyła. Niemogę tego wspomnieć bez wewnętrznego żalu i zgrozy, lecz niestety! stało się, już moje szczęście niewróci.

Syn Gniówomira Wisław, którego postać nadobna wysmukłej podobna była topoli, kochał także Helenę. Lubitem ja zawsze ślachtetność młodzieńca, bolały mnie jednak częste jego schadzki z Heleną. Zastalem ją płaczącą i zdawało się, że ta Nimfa tylko na rozkaz Ojca serce mi swoje oddawała. Jlekoć spotkałem ich ze sobą, mój widok przeraził dziewicę, i łzy jej tkliwe z oczu wyciskał, a młodzieńca w tajemną niespokojność wprawiał. To wszystko kazało mi się domyślać jakiegoś zdrady, podejrzenia obudziły zawiść, a zawiść unosząc mą duszę, nieraz mi srogięj zemsty podawała radę. Tłumiłem przecię w sercu rozognioną ranę, bo byłem pewny, że Helena będzie moją, jednak znieść tego niemogłem, aby to niewinne dziewczę do kogo innego, oprócz mnie, wzdychało.

Ojciec Wisława sprzyjał zamiarom syna,

nie dla tego, iżby szczęście jego własnemu wyborowi oddał, lecz, że od dawna zamyślał do obszernej swjej włości przydać posag Heleny, która będąc jedynaczką, cały po Rodzicach objąć miała spadek. Sądził, iż mu łatwo będzie przy swojej powadze i majątności dopiąć tego zamysłu. W tym celu, ubrawszy się wspaniale, wraz z synem swoim przed dom Ojca Heleny poszostną karetą zajechali. Przyjęto ich z uprzejmą szczerością: wszedł dumny Starosta, i przywitał się z Ojcem i córką, na mnie i spojrzeć nieraczył. Wrzała krew we mnie, tém bardziej, żem już przewidywał, po co przybyli. Wisław tylko, ten ślachtetny młodzieniec, co był godzien lepszego Ojca, witając się z wszystkimi, i mnie nieopuścił. To wszystko wyszczególniam ci, bo było początkiem srogięj nienawiści, która się w sercu mojem zapaliła, a im dłużej tłumiona z tém większą gwałtownością wybuchnąć musiała, i w srogi zamienić się pożar.

Siedziałem, milcząc jak sokół, z nastrzępionem pierzem, na suchej gałęzi, i oczekiwałem z niecierpliwością oświadczenia chwili. Przyszła nakoniec. Pan Starosta przesiadając się na swojem krześle, jakby w tém miejscu coś niedogodnego znajdował, wyraźną okazując niespokojność, to krzäkaniem to poprawianiem pasa, zaczął nareście dumnym głosem: „Znasz, Panie

„Bracie, jak wysoko ród mój zasięga, niepotrze-
 „buję wyliczać, jakie przodkowie moi dzierżyli
 „zasczyty, bo te już nadto są znane; sąsiad mój od
 „lat kilkunastu wiedzieć musisz, jakie do rodu
 „mojego bogactwa i dostojności należą, i nietaj-
 „no ci zapewne, jak łatwo mógłbym sięgnąć
 „po owoc do najokazalszego szepu rodu Polskie-
 „go. Lecz ja mam słuszne przyczyny, dla któ-
 „rych się zniżam. Wyrósł na polu twojem
 „kwiat (tu skazał palcem na Helenę, której po-
 „wabne lica niewinny rumieniec okraślił) kwiat
 „świeżo rozwinięty, pełen zewnętrznej ozdoby
 „i miłej wonności, który ja dla mego syna zer-
 „wać przedsięwzięłem, aby go w mój ogród
 „przesadzić.”

Gniw, burzący się we mnie, już miał w ca-
 łej sile wybuchnąć, czułem, iż krew gwałto-
 wnie w żyłach moich biegła, gdy Ojciec Hele-
 ny łagodnie odpowiedział słowy: że lubo za-
 sczyteinby było dla niego, z tak wysokim spo-
 krewnić się domem, jednak jako człowiek uczi-
 wy niemoże odwołać raz danego przyrzeczenia.
 I któż jest ten, przerwał dumnie Starosta, któ-
 remu Syn mój ma ustąpić? pytał się, jakby nie-
 wiedział o wszystkim, a to tylko dla dogodze-
 nia wyniosłości swojej. Gdy mu powiedziano,
 spojrział na mnie z pogardą, i nagle do innego
 przedmiotu zwróciwszy mowę, wstał w krótko,

i z Wisławem, na którego twarzy widoczny się
 okazywał gniew, poszóstną oddalił się kareta.

Już ich niebyło, a jeszcze obraz tej sceny był
 sercu memu przytomny, już tuman kurzu zasło-
 nił ich przed moimi oczyma, jam jeszcze w roz-
 jątronym umyśle ważył wściekłość i zemstę.—
 Znając jego umysł gwałtowny, postanowiłem
 ciągle pilnować mojej Heleny, aby jej siłą nie-
 dostał, kiedy jego prośbie odmówiono. Zbliżał
 się już dzień połączenia naszego, jam był ciągle
 w złośliwym humorze i z posępną miną przy
 mojej ulubionej siedziałem, Helena zaś, niewiem
 z jakiego powodu, łzą czystą oko miała napę-
 tione, gdy stanął przed nami goniec Starosty,
 prosząc nas do zamku na wieczór w dzień uro-
 dzin Wisława. Dwudziestą pierwszą wiosnę
 oglądał ślachtetny młodzieniec, a ten dzień był
 przeznaczony do spełnienia najczarniejszej zbro-
 dni. Obudził się na nowo gniew we mnie, już
 chciałem odmówić, gdy Ojciec nadobnej Heleny
 oświadczył, iż się stawi na rozkaz Starosty; tak
 i ja mimowolnie zaprosiny przyjąć musiałem,
 bom się obawiał, aby mi nieporwano Heleny
 w czasie powszechniej zabawy.

Tu był koniec szczęścia mojego, do którego
 napróżno tak długo wzdychałem. Huczne gody
 w dniu tym były obchodzone, bawiono się we-
 soło, ja tylko siedząc na boku, z oka nadobnej

niespuśszałem Heleny, której Starosta pierwsze względy okazywał. Starał się nawet, ile możności, uprzedzającym względem mnie ludzi, pełen uprzejmiej grzeczności wynajdywał różne sposoby, aby mnie rozerwać, ale innym zajętemu przedmiotem, wszystko się zdawało podejrzliwym.— Gdy późno w noc było, usiłowałem nakłonić Ojca Heleny, aby uczyniwszy pobytem swoim zadosyć Starości, wrócił do domu. Przystał na to poczciwy staruszek, lecz chytry Gniwomir, więcej jeszcze potrzebując czasu do wykonania swego zamiaru, potrafił go omamić tak dobrze, że zwłóknął nasz odjazd aż do północy.

Noc była ciemna, sprzyjająca zbrodni, i zupełnie cichość panowała w naturze. Odprowadziwszy Helenę do domu, bom jej niepewnemu losowi i wtedy niechciał powierzyć, do mojej powracałem wioski, która tak bliską była, iż ją z okien Heleny widzieć można było. W głębokim zamysleniu, ujechawszy znaczny kawał drogi, postrzegłem wieś, lecz ta nie była moją. Minąłem więc własną, rzekłem do siebie, zwracając konia, i tak jadąc dosyć długo, stanąłem przed oknami Heleny. Cóż to? już trafić nie mogę tam, gdzie tyle razy w nocy jeździłem? Wracam, błędę w cieniach nocy, lecz napróżno szukam wsi mojej, nigdzie jej znaleźć nie mogę. Spotykam wręście człowieka, pytam, i do-

wiaduję się, że ludzie Starosty z jego rozkazu, tej nocy, uprowadziwszy ludzi i sprzęty, wszystkie zrujnowali domy.

Wyobraź sobie, jaka wściekłość zmysły moje ogarnąć musiała; przytomność imnie odbiegła, i niewiedziałem co czynić, wszystkie myśli moje zemstą oddychały; wszystko zemsty wołało. Ta potrzeba zemsty okropną stała się dla mnie męczarnią, gdy do jej spełnienia bezsilny się wdziałem. Mnóstwem sług otoczony, mego nielekkał się gniewu, i jeszcze z ciężkiej naśmiewał się niedoli. Długo stałem nieporuszony, jak kamień połowy, przemogła wręście chęć zemsty. Postanowiłem z narażeniem własnego życia zbrodniom jego kres wieczny położyć: umrzeć lub zemścić się, to było moje życzenie.

Zbliżyłem się do zamku: już w nim nie było tej bucznej biesiady, pogasły światła, posępna ciemność zaległa ten przybytek zabawy, gdzie niedawno liczne spełniano wiwaty, w miejscu okrzyków radości i głośniejszej muzyki, grobowe panowało milczenie. Wiedziałem, w którym pokoju zwykł sypiać Starosta, pod te więc okna przyprowadziłem konia mojego, i stanąwszy mu na grzbiecie, byłem już bliskim spełnienia mego zamiaru. Na szczęście, czy to przez niedbalstwo służących, czyli też umyślnie, okno do połowy otwarte zastałem. Widzę, rzekłem

do siebie, zemsta moja podoba się niebu, gdy mi sam los wszystkie usuwa przeszkody: to mówiąc zstąpiłem do sali, i z dobytym mieczem, do łoża się Starosty zbliżałem, już tylko jednego spuszczenia miecza było potrzeba do zadania śmierci okrutnikowi, gdy nagle jego ustami moje wymówione imię, wstrzymało jeszcze na chwilę podniesione ramie.

Błade światło księżyca padało na twarz zbrodniarza, na której zgryzoty srogie wryły znamiona. Oczy wklęsłe, twarz blada, lica zapadłe i suche, widzieć łatwo dawały, jak wyrzut sumienia stargał siły jego. Miałem mu te przerywać cierpienia? Nie, widok jego męczarni sprawiał mi roskosz tajemną. Widziałem, z jaką boleścią suche jego wyprężyły się członki, jak się rzucał na łożu swoim, dzikie wymawiając słowa. Zemsta, krew, nienawiść, z ust jego wychodziły: zdawało się, że trwoga, zgryzota i jęki koło niego zaległy. Często wymawiane imię Szramy, przekonywało mnie, że świeżo spełniona zbrodnia ciążyła mu na sercu. Lecz, gdy nadzwyczajne poruszenia zaczęły nim miotać, wśród udręczeń sumienia ocknął się: postrzegając mściciela z podniesionym mieczem, a widząc kres swojego życia, w dumie i nienawiści niepokładając więcej nadziei, do podłój udał się pokory. Padł mi do nóg, i ten, co niedawno le-

dwie ze wzgardą na mnie raczył spoglądać, ze łzami u stóp moich litości błagał, obiecując całą wynagrodzić szkodę, i hojnie swe życie opłacić. Lecz serce moje już wtedy zamknęło przystęp litości, a widok upokorzonego zbrodniarza wściekłość moją pomnażał. W łudzącym jego uniżeniu malowała się chytrłość podstępного umysłu, niemożem dowierzać, a najmniejsza zwłoka groziła mi zgubą. — Za całą więc odpowiedź miecz mu w piersiach utopiłem. Bijąca krew zboczyła mi ręce i całą zalała podłogę: trup jego jęczący, i we krwi własnej nurzający się, padł twarzą na moje kolana; pchnąwszy go nogą, jak najspieszniej opuściłem to miejsce, pełne okropnej trwogi.

Dzień cały bez wytchnienia jadąc, przed wieczorem do tej, którąśmy minęli zbliżyłem się kniei. Noc burzliwa i ciemna zmusiła mnie szukać spoczynku w ubogiej chacie poczciwego jakiegoś ślachećca. Zaledwem ogrzał zziębłe moje ciało, przy palącym się ognisku, kiedy młody Wisław przed moimi stanął oczyma. Ślachećny młodzieniec! chociaż niegodnego chciał się pomścić Ojca, lecz toż samo ramie, co Ojca z życia wyzuło, i jego także w piekielne wtrąciło otchłanie. — Tu Zbigniew zbrojną prawicą uderzywszy go w ramie: „zbrodniu, zawołał, tyś

„miał serce najnotliwszego zabijać młodzieńca,
„ta dłoń za niewiną pomści się ofiarę.”

Zadziwiony Szrama tak nagłym zapałem towarzysza swego, dobywszy oręż, jak piorun wpadł na Zbigniewa. Odparł on pierwszą natarczywość jego: krwawa zaczęła się walka. Każde cięcie ich mieczów równało się błyskom piorunów, jak grad padały ciężkie ciosy. Co tylko zręczność, siła, męstwo, dokazać może, wszystko z obu stron użyte. Pot strumieniami ciekł im z czoła, już silne ramiona długim zmęczone bojem, słabiej orężem władały, a jeszcze żaden ani kropli krwi nieuronił. Za wzajemną ugodą zawiesili boj na chwilę, i siedli na trawie w milczeniu. Szrama, który tylekrotnie przywalony nieszczęściem, nauczył się ludziom niewierzyć, niemógł zmrużyć oczu; Zbigniew odważny podług swego szlachetnego serca sądząc o wszystkich, po ciężkiem utrudzeniu zasnął spokojnie.

Już znaczny czas upłynął, kiedy niecierpliwy Szrama, w słodkim śnie widząc pogrążonego Zbigniewa, podniósł się i silnym wstrząsnawszy go ramieniem: wstań, zawołał, czas naszą walkę zakończyć, po niej będziesz mógł, albo będziesz musiał dłużej spoczywać. — Powstał Zbigniew: natarli na siebie, z obu stron równe męstwo, równa siła i zręczność, zdawało się tylko, że sen

więcej wzmocnił Zbigniewa. Natarczywość jego podwoiła się, jednak niezmordowany Szrama tysiąc zgubnych cięć tysiąc razy odparł. Widząc męstwo przeciwnika swego, i niemogąc go pogromić, porywczy Zbigniew wściekłością się zapalił. W ślepém uniesieniu nic niewidząc przed sobą, z podniesionym mieczem i okropnym krzykiem rzucił się na niego, i w głowę uderzył. Raz tak ciężki ogłuszył Szramę, krew czarna po twarzy mu ciekła, i chwiać się począł na swoim rumaku; ale odzyskawszy dzielność, podniósł miecz, mówiąc: mam umrzeć, niech przynajmniej długo nieumięram. — W tym wpadł na Zbigniewa, i już tylko w zapalczywości widząc nadzieję, tak śmiałym natarciem zdziwił Rycerza. Niedługo ta trzecia toczyła się walka, zawzięty Szrama aż po rękojęść miecz swój w piersiach Zbigniewa utopił. Padł Rycerz, a chwycący się zwycięzca za ledwie tyle miał siły, że miecz, który tak głęboko utkwiał, z trudnością wyciągnął.

Jeszcze kilka postąpił kroków i upadł: zaćmiły mu się oczy, odbiegła go przytomność, a w miejsce siły i dzielności zupełna nastąpiła bezwładność. Tak zwyciężony i zwycięzca, w krwi się własnej nurzając obok siebie leżeli. Przywiązane konie czekały na powstanie swych panów, niestety! długo czekały.

Oslabiony Szrama, zwolna do sił przychodząc, z głębokiego ocknął się letargu, otwiera oczy i nie niewidzi, ciemność posepna wszędzie. Maca do koła, i tylko miecz swój znajduje. Słyszysz nareście jakieś stapanie i szelest mu nieznanym. Gdzież jestem, mówił do siebie, jestli to miejsce ostatniego boju, czy też piekielna kraina? do żywychże ja jeszcze czy do umarłych należę? Jakoż bardziej do trupa podobny, skłonniejszym był uwierzyć, iż się pod ziemią znajduje. Lecz stapanie trawę gryzącego konia wyprowadziło go z błędu; błady księżyc na chwilę z chmur się wydobywszy, oświecił pobliskie przedmioty. Podniósł się Szrama, jeszcze mu dokuczał srogi ból z adnieszionej rany, która przecież niebyła szkodliwą. Obwiązawszy głowę, wsiadł na konia i odjechał, zostawiwszy martwe zwłoki towarzysza swego.

(Dokończenie w następującym numerze).

NAUKA STARCA, z Niemieckiego Fojgta (Voigt).

O Synu! chceszli, ażeby wnuki,
Twoję siwiznę uczeili,
Zachowaj szczerę starca nauki,
Z całego serca i siły!
Już się nad cichą mogiłę schyla,
Posłuszny Bóstwa skinieniu;
Ale ten pokój, co go zasila,
W mdłym jego żyje spojrzeniu.

Prawda nad grobem, wierz mi starcowi!
Złudzenie stamtąd ulata;
Tam więcej przesąd błędu niewmówi;
Tam gasną żądze od światła.
Tam złoto blaski mamiące traci;
Ani dostojność rozkwita,
Gdy cię drżącego w groźnej postaci,
Wysłanieć śmierci powita.

Dobro ludzkości samo jedynie,
Weźmiesz do cieni schronienia,
To ci osłodzi w tęsknej godzinie!
Późnego wieku cierpienia.

Kto nad znikomość wznieść się niełeka,
 W czyste sumienie bogaty,
 Na tego urnę potomków ręka,
 Wdzięczności posypie kwiaty.

Kto się niewstydzi, w obliczu nieba,
 Ubogich karmić się łzami;
 Kto potrzebemu odmówi chleba,
 Zarobionego z trudami,
 Kto sztydzi z prośby biédnej prostoty,
 I wzgardą budzi w niej jęki,
 Kto śmiał beczelnie skrzywdzić sieroty,
 Zamiast podania im ręki.

Kogo niewzruszy nędzy cięrczenie,
 Że bez pomocy umiéra,
 Kto niewinności, choć kwitnie mienie,
 Radą, nauką niewspiéra;
 Ten skoro zniknie, okrzyk radosny,
 Że go już niéma, powstanie,
 Potomek, widząc grób jego sprosny,
 Zgrozą przejęty zostanie.

Przeto, o Synu! chceszli, by wnuki
 Siwiznę twoję uczciły,
 Zachowaj szczére starca nauki,
 Z całego serca i siły!

Pełnij powinność, w pracy ochoczy,
 Tam nawet, gdzie są jej ciérnie,
 I ciesz się, kiedy zgon cię zaskoczy,
 Żeś zawsze cnoty strzegł wiernie.

Pamiętaj, Synu, pamiętaj przytém,
 Że pamięć wieków niemarną,
 I że się staje żniwem obfitém,
 To, co potomnym dasz ziarno.
 Choć żaden marmur na twoim grobie,
 Niestanie złotem pisany,
 Piękny zostawisz pomnik po sobie,
 Owoc tak chlubnie zasiany!

NICOWANA ENEIDA.

Wesoła zaiste wyobraźnia podała Blumauerowi myśl przenicowania Ilijady i Eneidy w suknię śmieszności. Niech ociężały klasyk ubolewa nad mniemaném poniżeniem tych dzieł nieśmiertelnych; my śmiejmy się z zabawnym Blumauerem, a szanując wielkość Homera i Wirgiłego, tam, gdzie powaga tego wymaga, podzi-

wiajmy ich wielkie opisy i zdania. Wszak to niewinna uciecha, jeśli się roześmiejemy pracy. Do tych zaś dzieł nieśmiertelnych zastajemy słowa Sokratesa wyrzeczone w teatrze, gdy Arystofanes w komedyi *Chmury*, naśmiewał się z tego wielkiego człowieka: „Mocno mnie to cieszy, że ubawić mogę Ateńczyków.

Dla rozerwania Czytelników naszych, będziemy im podawali niektóre wyjątki, naśladowane z tego dowcipnego przenicowania, unikając takich skwapliwie, w których jest nieco wolniejsz.

POCZĄTEK NICOWANÉJ ENEIDY.

Był to raz bohater wielki,
Imię mu Eneasz było,
Z Troi swe zabrał manelki,
Kiedy się miasto spaliło:
Uwiózł rupiecie i graty,
Ale uciérpiał za katy,
Od wysuszonej jak szczepy,
Gniéwnéj Jowisza Ksantypy.

Ten,

Ten, co paśł kozy na Jdzie,
Jabłko jéj niegdys odsądził,
I dał je pięknej Cyprydzie;
Ganimed także jéj zblądził,
A Enej zrobił szaleństwo,
Że wszedł z nimi w pokrewieństwo,
(Jak mamy w Wirgila pieniu)
O dudek! — przy urodzeniu.

Nim przeto zobaczył Włochy,
Diabelnie musiał się pocić;
Wiatry mu robiły lochy,
W Afryce musiał się kłócić,
I bić jak kogut z miłością,
Co mu stała w gardle kością.
Słowem, porządnie się spławił,
Nim jatki Rzymskie wystawił.

Ledwie go Juno dojrzała:
„A tuś mi, rzece, tuś, frycu!
„Skocz nego będę ci grała,
„Nauczę ja cię, słachcieu!
„Co może taka niewiasta,
„Co jak ja swego bródacza,
„Kiedy chce za nos zahacza,
„Parbleu! — sic volo i basta.”

Leci więc Babus iak kula,
W złotéj dryndulce do kraju,
Gdzie wszystko słucha dziadula;
Bo władza jego w nahaju.

Dziedzilija Tom I. Nr. 3.

Eol bałamut był stary,
 Worka doglądał z wiatrami,
 I często palił ofiary,
 Komu? domyście się sami.—

Na to bogini, z psią minką
 Głasze mu brodę i mówi:
 „Przybyłam z świeżą nowinką,
 „Enejcio płynie! chłystkowi,
 „Jak chcesz naburcz, nałaj grzmotem,
 „Trojanie wszyscy niepotém.
 „Niechciej się przeto wstrzymywać,
 „I dudków naucz mi pływać.

Zrób dzisiaj maleńką burze,
Comme vous m'aimez, mon chér bobo;
 Niech dudni w całej naturze,
 Zjemy kiedy byfszytek z sobą.
 Pomąć morze, narób żuru,
 Tylko tego: hru, bru, ru, ru!
 Niech pioruny dudnią wszędzie,
 A mój stary błyskać będzie.

Aj! co tam huku straszego,
 Kiedy sypnął z worka dmuchy;
 Niebędzie do dnia sądnego
 Pewnie takię zawieruchy!
 Jedne chmury zgromadzają,
 Inne wiatry solo grają.—
 Tamte, nad brzegiem, na brzuchu,
 Dmą i macą fale w ruchu.—

Woda się jak w kotle warzy,
 Skaczą po wałach okręty.
 Łby trzeszczą biednych żeglarzy;
 Wielu męstwo przeszło w pięty,
 A inni kina, jak poganie.
 Enej także łąje burze,
 Kryje nos w swojej wilczurze,
 Krzycząc: precz morski bałwanie!

Rzecz jedna wszystko zatrula,
 Już pękły drągi i liny,
 Jeszcze niebieska kopuła,
 Czarna jak wewnątrz kominy.
 Eol w tej smutnej potrzebie,
 Światło pogasił na niebie,
 Komu zęby ognia dały,
 Drapnął w ką, siedzi nieśmiały.

Burze silniejsze powstają,
 Drżą biedne ziemi bieguny,
 W kawalki firmament krajają,
 Jakieś niegrzeczne pioruny,
 A grzmot stary burczymucha,
 Mruczy, jakby miał ból brzucha,
 Już to dyskantem, już basem,
 Wiatr mu sekunduje czasem.

Koło Eneasza krucho,
 Drży jak na pniu nędzny żaczek;
 Lecz mu dzwoni prawe ucho:
 „Czemużem zabrał tłumaczek?

„ Czemu Grecki frajkur jaki
 „ Niezabił mnie; teraz chyba
 „ W brzuchu Pana wieloryba
 „ Trzeba z głodu lizać flaki!”

„ Gdyby z tobą Sarpedonie
 „ Zsiekał mnie był drab na ćwierci,
 „ Po tak nieżenownym zgonie
 „ Jużbym się niekłaniał śmierci!”
 Gdy się tak rzuca i baje,
 A nawet bałwany wzniosą,
 Potajemnie ślub wyznaie,
 Że pójdzie na wender boso.—

Ale i inne okręty
 Miały się bardzo mizernie,
 Wiatr je powpychał w odmęty,
 I nakiwał im niezmiernie.
 Tamten biedny stracił zad,
 Temu się w pól złamał dziób,
 Że ocalał jeszcze rad,
 Inny przy nim w morze klup!

Wiele się o skały trzaska,
 Wielu, pędząc z wysokości,
 (I to jeszcze wielka łaska)
 Wicher pogruchotał kości.
 Po tak strasznej nawalnicy,
 Ten się ratuje, ten ginie,
 Tam pantofel przy szlafmicy
 Na spienionych falach płynie.

POWINSZOWANIE IMIENIN ANDRZEJ: TRZCIŃSKIEMU, PROFESOROWI MATEMATYKI.

Od Klasy V. Szkół Wojewódzkich Płockich.

Od Uczniów w Imienin porze,
 Za prace, trudy rozliczne,
 Przyjm, Szanowny Profesorze!
 Życzenia matematyczne.

Miarą roztwartego kąta,
 Niech Ci szczęścia róg obfity
 Roni pociechę.... zaszczyty,
 Z drogi życia, ciernie sprząta.—

Zamiarów pomyślne skutki,
 W Cnotach miej życia osłody;
 Ze znakiem odjemnym smutki....
 Z znakiem dodajnym dochody!

Ale w obliczu światła, blask bogactw jest niemy,
 Zbiór mamony szczęścia nieda;
 Większej roskoszy życzymy,
 Sławy Mistrza Archimeda.

BAJKA

SROKA.

W Gdańsku, czy koło Gdańska,
 Srocza jedna gadaliwa,
 Wielomowna, jak to bywa,
 Poznawszy, co mina pańska,
 Kiedy zaczęła być w modzie,
 Zapomniała o swym rodzie;
 I tyle w swoje dufała zasługi,
 Że się nawet liczyła pomiędzy papugi.
 Zadarłszy do góry główki,
 Wszystkich bez różnicy laje,
 Niezgrabne przytyki daje,
 I sadzi się na przymówki.
 A gdy inną sroczkę zoczy,
 Która nie tyle szebioce;
 Zaraz w klatce z dumą kroczy:
 Takie to głupstwa owoce!
 Z początku bawiła gości;
 Ale gdy Państwo dostrzegli próżności,
 Że sobie z niższych żartowała stanów,
 A później nawet i z panów;
 Wkrótce wydano rozkazy,
 Aby za szpetne wyrazy,
 Których się głupia srocza ponczyła,
 Odtąd w przedpokoju była.
 Tak ta, co dawniej bawiła pany,
 Doznała smutnej odmiany,

I zwykłym losu obrotem,
 Lokaje sobie drwili z niej potem.
 Lecz nie tu koniec niedoli:
 Chłopiek przyszedł do lokai,
 Biędna w kąciuku się tai,
 I to ją serdecznie boli,
 Że ten, którego dawniej podrzeźniała mowie,
 Wyśmiała postać, i grube odzienie,
 Dziś widzi jej poniżenie.
 Zoczył ją chłopiek i mówi: „Panowie!
 „A czemu ta imościanka,
 „Nie w Jegomości komnacie?”
 Rozśmiał się na to jeden, i rzecze: „Mój bracie!
 „Kto z innych szydzi i udaje panka,
 „I kto się z niższych naśmięwa,
 „Kogo z niskości wyniósł ślepy los,
 „A już na innych pański ściąga nos,
 „Taki, jak nasza srocza koniec mięwa.”
 Aha! kiwnął chłop na to: dobrze ci tak sroczo,
 Poczós tak dumnie przymrużała oczko,
 Poczós była taka harda;
 Słusznie cię potkała wzgarda.

WIDZIAŁEM.....

Widziałem, jako fijołek,
Wśród tysiąca innych ziołek,
Skromny z swęj barwy i woni,
Starannie w trawce się chroni.

Widziałem jako malina,
Gdzie gęstwina, gdzie krzewina,
O purpurę swą lekliwa,
Troskliwie owoc ukrywa.

Widziałem dziwem przejęty,
Jako się chroniąc z skarbami,
Ziemia, okryta krzakami,
Kryje złoto z dyjamenty.

Widziałem, jak mąż wspaniały,
Mąż dobroczynny, wzór cnoty,
Wspierał nieszczęsne sieroty,
Nieszukając z tego chwały.

Lecz niewidziałem poety,
Mimo życzenia najszersze,
Coby skleiwszy dwa więrsze,
Nieszukał z tego zalety.—

NIEKTÓRE ZDARZENIA Z ŻYCIA

SALADYNA
SULTANA EGIPITU,

który panował około roku 1180. po Narodze-
niu J. Chrystusa.

Pewien kupiec Omar był tak śmiały, że za-
skarżył tego Monarchę przed Kadym w Jerozo-
limie, jakoby Sultana zabrał ma niewolnika. Zdu-
miony Sędzia doniósł o tém Sultanowi, i pytał
się, jakby sobie miał postąpić? — Jak sprawie-
dliwość każe, odpowiedział Saladyn.

Stanął sam w dniu naznaczonym, bronił oso-
biście swojej sprawy, wygrał ją, i zamiast uka-
rania śmiałości kupca, podarował mu znaczną
ilość pieniędzy.

Często poddani jego nadużywali tej wielkiej
dobroci. Raz, kiedy przez całe rano pracował
ze swoimi Emirami, i chciał się wymknąć z do-
mu, dla odetchnienia, stanął nagle przed nim
niewolnik i żądał posłuchania. Sultana kazał mu
przyjść nazajutrz. Lecz niewolnik rzekł: moja
sprawa niecierpi zwłoki! i podał mu natarczy-
wie prośbę. Bez gniewu przyjął Saladyn ów

papier, przeczytał i uznał słusność jego żądania. Potém obróciwszy się do otaczających go osób, zdumionych tak wielką dobrocią, rzekł słowa pamiętne: Ten człowiek nieobrazil mnie wcale, postąpiłem sobie, jak sprawiedliwość kazała, i dopełniłem mojej powinności.

W tym samym czasie, gdy był mocno zagniewany na Franków, z powodu okrucieństwa Rycerza Lwie serce, który wszystkim jeńcom Saracenińskim głowy kazał ucinąć, przyprowadzono mu Chrześcijańskiego oficera, drżącego z bojaźni. Saladyn zapytał się go: czemu by się lękał? Drżałem, była jego odpowiedź, gdym się zbliżałem do Waszjej osoby, ale mnie bojaźń opuściła, gdym Was zobaczył; Monarcha którego powierzonechność oznacza tylko dobroć i chęć dobrego czynienia, niemoże być tak okrutny, aby mnie na śmierć skazał. Sułtan uśmiechnął się, i darował mu życie i wolność.

Inną razą dzieci Saladyna prosiły go o pozwole nie ucięcia głowy kilku Chrześcijańskim jeńcom. Saladyn odpowiedział: Broń Boże! abym przystał kiedy na tak dzikie okrucieństwo. Nie chcę, aby moje dzieci przyzwyczajaly się robić sobie igraszkę z przelęwu krwi ludzkiej, której wartości nieznają.

Gdy w roku 1181. Jerozolima z tym warunkiem jemu się poddała, że wszyscy mieszkańcy

okup zapłacą, że niebędący w stanie, jako niewolnicy pozostaną, a żaden z nich dobytku swojego nie zabierze, Saladyn na prośbę brata swojego uwolnił tysiąc ubogich i drugi tysiąc na prośbę Balcara, potém rzekł: Wy oba jużście rozdali jałmużnę, słusna jest, abym ja to samo zrobił. Idźcie i ogłoście, że wszystkim ubogim wolność daję, i odejść im pozwalam. Wreszcie nadszedł dzień, w którym Chrześcijanie Jerozolimą opuścić musieli. Zamknięto wszystkie bramy, oprócz jednej, przez którą mieli wychodzić. Saladyn kazał im przeciągnąć przed swoim tronem, nie dla upokorzenia, lecz, aby ich zabezpieczyć i porządek utrzymać. Naprzód pokazał się Heraklijusz Patrijarcha, z całym Duchowieństwem. Niósł złote świeczniki; święte naczynia i skarby grobu Sgo.— Saraceni chcieli te bogactwa zatrzymać, lecz Sułtan przysądził je Patrijarsze. Potém szli Baronowie, Rycerze, znakomici Obywatele, po nich Król, a nakoniec wielkie mnóstwo kobiet, które z rozpaczą wyciągały ręce ku Sułtanowi, a pokazując mu swoje dzieci rzewnie płakały. Sułtan kazał się ich zapytać o przyczynę smutku. Straciłyśmy wszystko, odpowiedziały, straciłyśmy domy, majątki i naszą ojczyznę, idziemy bez pomocy i nadziei do obcego kraju; ale ty Panie! możesz ulżyć nasze cierpienia, jeżeli nam oddasz łaskę.

wie naszych Mężów, naszych Ojców i naszych uwięzionych Synów, którzyby nas prowadzili, wspierali i bronili. Sułtan dopełnił ich prośby, zrobił jeseze więcej. Obsypał te niewiasty podarunkami. Ci, którzy Rodziców w wojnie utracili, w jego szodrośliwości znaleźli pociechę. Kto się mu pokazał, otrzymał żywność i pieniądze, wydał na nieszczęśliwych mieszkańców większe sumy, niżeli od nich odebrał. Słowem zdumiona Europa dziwiła się w Muzułmanie cnotom, którymiby mogli byli pochlubić się i Chrześcijanie nawet owego wieku.

Odprowadzono Franków pod mocną strażą do kraju Boemunda, syna Książęcia Antyjochii, który został Grafem Trypolitańskim, po śmierci Rajmunda. Nieszczęśliwi spodziewali się, że tam znajdą litościwe serea, a znaleźli potwory. Zamknięto przed nimi bramy miasta, odpędzono ich, i ścigano z bronią w ręku, zabrano im to wszystko, co im Saraceni dali. Do tego stopnia posunięto niehumanność, że im suknie zdzierano, mieszanując ani płci, ani wieku. Jedna niewiasta, której zabrano żywność dla dziecięcia potrzebna, rzuciła je w morze, przeklinając Boemunda i jego poddanych.

Z TRAJEDYI SOFOKLESA: FILOKTETES.

Objaśnienie.

Laharp naśladował Trajedyją tego nazwiska. Jakkolwiek to naśladowanie jest wzorowe, chcąc jednak Czytelnikom dać poznać piękność Greckiego oryginału, poważyłem się z niego wyczérpnąć ten przekład. Wziąłem najpiękniejszą scenę, w której nieszczęśliwy Filoktetes na przód dopytuje się przybywających na wyspę Lemnos o ich ród i Ojczyznę; potem dowiedziawszy się, że są Grekami, opowiada im swoje nieszczęścia; a gdy Pyrrus, będący w zмовie z Ulisesem udaje, że na Greków zagniewany opuścił ich obóz i płynie do Ojczyzny; w ten czas Filoktetes zaklina go, aby się nad nim zlitował, i po tylu latach nieszczęścia zabrał go z sobą.

Ach! skąd zawinęliście z nawami waszemi,
Do tych brzegów skalistych, do bezludnej ziemi?
Jaką waszę Ojczyznę, jaki ród wymienię?
Widzę to Greckie, dla mnie najmiłsze odzienie,
Pragnę usłyszeć mowę. Postać moja dzika,
Niechaj was przyjaciele trwogą nie przenika,

Jestem nędzarz nieszczęsny, nędzarz opuszczony,
Samotny, bez przyjaciół, bez wszelkiej obrony:
Jeżeli was porusza smutne moje życie,
Jeżeli na tę ziemię pokój przynosicie,
Zlitujcie się i mówcie. Byłoby niegodnie,
Gdybyście mnie zwodzili, lub ja was, przychodnie.

Filoktetes opowiada Pyrrussowi swoje nieszczęścia.

O mój Synu, o drogie Achillesa plemie,
Ja ten jestem, o którym wieść przebiega ziemię,
Żem się stał właścicielem broni po Alecydzie,
Filoktet syn Peanta. O hańbo! o wstydzie!
Tego Ulis, Atrydy tego dokazały!
Że dziś mojem schronieniem te odludne skały.
Tu, tu mnie opuszczono, gdym z bólu umierał,
I gdy mnie strasznej Hydry zgubny jad pożerał;
W męczarniach tu mnie oni rzucili nieszczęsnie,
Kiedy płynąc do Chryzy stanęli przy Lemnie.
Snem złożony po długim na morzu strudzeniu,
W groty pobliskiej brzegu zasypiałem cieniu.
Odjechali mnie zdrajcy; podarte odzienia,
Zostawiwszy nędznemu, z trochę pożywienia.
Oby na nich te męki dopuściły Bogi!
Osądź, jakiej doznałem rozpacz i trwogi,
Przebudziwszy się ze snu, w tej okropnej porze,
Gdy ich nawy uniosły na dalekie morze?
Ilem wylał wśród przekleństw łez rzewnych strumieni,
Widząc i moje żagle na morskiej przestrzeni?
A na okropnej wyspie niebyło nikogo,
Coby cieszył i w bólach niósł mi pomoc błogą.
Kiedym się w tej samotnej rozpatrzył krainie,
Wszędzie smutek i rozpacz znalazłem jedynie!

W takich nieszczęściach doba płynęła po dobie,
A jam wszystkiego w znoju sam dostarczał sobie.
Aby się niestać w krótkie srogiej śmierci pastwą
Tęmi pociski lotne dosięgałem ptastwo.
Ale, gdy strzały moje dla mnie co ubiły,
Jakżem natężyć musiał wycieńczone siły,
Jak wlec tę nogę ranną po skałach, ze drżeniem;
A gdy mi brak napoju dokuczał pragnieniem,
Lód, który się tu ścina z mroźniejszego nieba,
Topić i wędzny napój zmieniać było trzeba.
A po gałązki ileż czołgałem się razy,
By wzniecić ogień, kiedy trzę głązy o głązy,
Zaledwem skutecznik iskry wydobyć,
Co mi dotąd nieszczęsne zachowała życie.
Tak z ogniem wszystko miałem, ale nic niebyło,
Coby okropnej rany bóle złagodziło,
A teraz poznaj, Synu, te odludne skały;
Nigdy się do nich nawy przybliżyć nieśmiały.
Ani tu port bezpieczny, ani dla żeglarzy,
Jaka nadzieja zysku, ani się im zdarzy
Mieć gościnny spoczynek. O! Neoptolemie,
Ich nawy nie tę pustą odwiedzają ziemię.
Gdy przed burzą do tego schronili się brzegu;
Jak to nieraz bywało w długim lat obiegu,
Wstówach się użalili, czasem pożywienie,
A czasem nędzne jakie podali odzienie.
Ale żaden z nich, ilem zachował w pamięci,
Zabrać mnie do Ojczyzny nieokazał chęci.
Synu! już to lat dziesięć, jak od owej doby
Ciępię nieznośne męki piekielnej choroby.
Oto Atrydów, oto Ulisesa dzieło:
Oby słuszną odpłatę Niebo im wytchnęło!

WEZBRANIE WISŁY. Ballada.

Jasnym promieniem ranna jutrzienka,
Złociła ciche Bielany,
Gdy z klasztornego ujrzał okienka,
Szumiącej Wisły bałwany
Kapłan szanowny skromnością cnoty:
Włos jego zdobi siwizna,
Dobrym go Pawłem zwały sieroty,
Zesłańcem Nieba Ojczyzna.

„Dziś obchodzimy Jakóba święto,
„Który męczeńskim przykładem,
„I śmiercią w sprawie Boga podjętą,
„Za swoim wzywa nas śladem.
„Kiedy go tyran wskazał na męki,
„Odważnie udał się na nie,
„Stałością duszy zatłumił jęki,
„Tryjumfem wiary zrobił skonanie.

„Bo gdy zagrożon strasznym rozkazem,
„Kat byłby ciosy wymierzył,
„Nagle w Chrystusa uwierzył,
„I na śmierć idzie z nim razem.”

Tak dumał kapłan; fale spienione
Bily gwałtownie o brzegi;
Zalała woda łąki zielone,
Lądy wściekłymi rwie biegi.

Z szelestem pędzą Wandalu tonie,
Jak wiatr świszający po borze,
I słyhać jeszcze w dalekiej stronie,
Jak szumi, szumi to morze.

Cóż to za statek z góry tu płynie?
Na ludzi kapłan zawoła,
To coś niezwykle na tej głębini,
Poznać, co płynie, kto zdoła?

W tém krzyknie Feliks klasztoru sługa,
To domek, Ojce, to domek,
Tam jedna ściana, patrzcie! tam druga,
A tam na dachu ułomek.

Z szelestem pędzą Wandalu tonie,
Jak wiatr świszający po borze,
I słyhać jeszcze w dalekiej stronie,
Jak szumi, szumi to morze.

Kto uratuje całą rodzinę,
Kto Matkę, Ojca, kto dzieci?
Może już górną widzą krajinę,
Gdzie słońce życia im świeci.

Lecz jak na głębie w nietrwałej łodzi,
Jak się tu puścić bez trwogi,
Jak dom zahaczyć w nurtach powodzi,
I kto jest śmiały do drogi?

Na takie myśli wszyscy truchleją:
Wtém Pawła Niebo natchnęło
Świątą zbawienia nędznych nadzieją:
„To cnoty, rzeczce jest dzieło.

„Pokażcie teraz, kochane dziatki,
„Dowód miłości bliźniego,
„Dalej do wiosel! dalej na statki!
„Odważnych Nieba niech strzegą.”

Te słowa, jakby odgłos Anioła,
Serca przytomnych zapala,
Któż ten ich pośpiech opisać zdoła,
I jak mocują się z falą.

Czégóż niezrobi cnota prawdziwa,
Pod lichém nawet odzieniem!
Śmiało do wiosel kilku się zrywa,
Jakby zagrzanych natchnieniem.

A Ojciec Paweł znak święty krzyża,
Z błogosławieństwem im daje,
Jedna i druga leci łódź chyża,
I brózda piany powstaje.

Jak lotne strzały wodną głębiną
Śmiało szybują dwie łodzie,
Zawsze w tę stronę płyną a płyną,
Gdzie domek chybie się w wodzie.

Już siłą wiosel daleko pchnięci,
Na niego liny rzucają,
W tém wir szumiący na bok ich skręci,
Ledwie się łódki trzymają.

Ale gdy cnotę krzepi odwaga,
Niebo łaskawe ją wspiera,
Z jego natchnienia moc się w nich wzmaga,
Wytrwałość poklask odbiera.—

Dom zahaczony mimo fal biegu,
Przez liny i przez bosaki,
Co tchu, co siły ciągną do brzegu
Cnotliwe, śmiałe wieśniaki.

Inni na pomoc wsiadli w czółenko,
Inni wpław śpieszą z zapałem,
Lecz nikt niewyrzy nikt przez okienko;
Może śmierć nędznych udziałem.

W tém woła Paweł: „Wnijdziecie do chatki”.
Wchodzą i widzą omdlałą,
Widzą wybladłą Matkę i dziatki,
Czworo ich Niebo jęć dało.

Straszna ich powódź napadła w nocy,
Kiedy sen osiadł powieki,
Nikt ich niezbudził, nie dał pomocy,
Dom porwał wzdęty nurt rzeki.

Ratuj nas Boże! woła wpół żywa,
Gdy się na wodach zobaczy:
Dziatki do siebie tuli, okrywa,
Modli się, wolna rozpaczy.

I tak spokojnie myśli o zgonie,
I Niebu siebie oddaje;
N m ją okropna przepaść pochłonie,
Tam gdzie wieczności są kraje.

Lecz Bóg, co tkliwe modły przyjmuje,
Smutnym widokiem wzruszony,
Dłonią wybawców nędzną ratuje,
Gdy niewidziała obrony.

UMIÉRAJĄCY DŁUŻNIK,

z Langbłtjna.

Ułogi leżał w okropnej malignie,
I czekał rychło kosę śmierć na niego dzwignie.
W tém staje mu przed oczy, ze złości zaciekla,
Rozindyczona figura,
Brzydsza od wysłańca z piekła;
Był to wierzyciel Drzyškóra.

Jakby miał porwać biédnego duszę,
 Wyciągnął ręce jak szpony,
 I całém gardłem krzyknął zapérzony:
 Zapłać, ja moje piéniądze mieć muszę!
 Chory westchnął i zbladły cichym głosem rzecze:
 „Pozwólże mi spokojnie umierać, człowiecze!”
 Natychmiast zapłać, do szcztu,
 Woła na stygnącego wierzyciel Biédosza,
 Niedam ci umrzeć, jeśli mi do grosza
 Niewypłacisz natychmiast długu i procentu.

ŚPIÉW

DO PRZYIAŹNI,

naśladowany z Niemieckiego.

Wesela błoga dawczyni!
 Ty co niszcysz umartwienia,
 Zstap do nas z górnej świątyni,
 I wysłuchaj nasze pienia:
 Tu, gdzie się wylać potrzeba,
 Spraw, niech! zdroj uciechy bieży,
 O przyjaźni, Córo Nieba!
 Przybądź w różanej odzieży.

C H Ó R.

Tu, gdzie się wylać potrzeba,
 O Przyjaźni, Córo Nieba!
 Niech nam zdroj wesela bieży.

Pocziwość, szcerość i cnota
 Dopełnia radości miary,
 Roskosz wieńczy, a ochota
 Podaje szumne puhary:
 Zazdrość tu niéma siedliska,
 Gdzie pokój obrat mieszkanie,
 Wiara dłonie bratnie ściska,
 Uścisk za nagrodę stanie.

C H Ó R.

Zazdrość tu niéma siedliska,
 Wiara tylko poklask zyska,
 Przyjaźń za nagrodę stanie.

Gdy błoga przepędził życie,
 Wczesnego ziarna dojrzały,
 Widzi owoc w tym pobycie
 Zaczny starzec w cnocie stały.
 Późnych lat ulża ciężkości
 Pięknych uczynków wspomnienie,
 A nawet burza zazdrości
 Milczy na jego spojrzenie.

C H Ó R.

Ten, co błoga pędzi życie,
 Starzec widzi w tym pobycie
 Wczesnych ziarn owoc dojrzały.

Prawda, siła, stałość świetna
 Ożywia serce mężczyzny,
 Wre w nim zawsze krew ślachtetna,
 Gdy go wzywa głos Ojczyzny.
 Chocisz Mars nieszczędzi grotów,
 Za nią się chętnie potyka,
 I za nią śmierć ponieść gotów,
 Od pocisków przeciwnika.

C H Ó R.

Wre w nim zawsze krew ślachtetna,
 I choć Mars nieszczędzi grotów,
 Za Ojczyznę polędz gotów.

* * *
 Niewiasty najwyższa chwała,
 Gdy jej serce litość wzruszy,
 Gdy dobrocią serce pała,
 Gdy wspiera w cichości duszy.
 Jeśli wzmianka niewinności
 Wstydem nieokryje czoła;
 Wtedy w niej pokój zagości,
 I nic go zmienić niezdola.

C H Ó R.

Niewiasty najwyższa chwała,
 Gdy dobrocią serce pała,
 Gdy wspiera w cichości duszy.

* * *
 Weseła błoga dawczyni!
 Ty, co niszczysz umartwienia,
 Zstap do nas z górnej świątyni,
 I wysłuchaj nasze pienia.

Tu, gdzie się wylać potrzeba
 Spraw niech zdrój uciechy bieży,
 O Przyjaźni, Córo Nieba!
 Przybądź w różanej odzieży.

C H Ó R.

Tu, gdzie się wylać potrzeba,
 O Przyjaźni, Córo Nieba!
 Niech nam zdrój wesela bieży.

PODRÓŻNY MĘDREK, z Langbajna.

Podróżny, chcąc okazać, że nauk świadomy,
 By uwielbiano jego zalety,
 W pewnym zbiorze oglądał rozliczne dzieł tomy,
 Lecz tylko patrzył na grzbiety.
 W tém, kiedy na bok spoziéra,
 Z najżywszém krzyknie zdumieniem:
 Ach! *Ciceronis Opera!*
 To dla mnie nowém zjawieniem:
 To mi jenijusz doskonały!
 To mi wyskok Rzymskiej chwały!
 Do jakiej on pisarstwa nieprzebił się sfery!
 Teraz widzę, że Cyceron pisał i Opery.

NA GADULĘ,
z Tegoż.

Czas trawi stal, żelazo, co większa! i głazy;
Lecz to wszystko jeszcze baje:
Nasz Paplotowicz mężniejszy sto razy,
Bo się mu nawet czas połknąć udaje.

NA PIECZENIARZA POTWARCĘ,
z Tegoż.

Niejeden się biédak morzy;
Temu pieczenie za fałsze nagrodą.
Łże, obmawia, a zatém gęby nieotworzy,
Tylko zawsze z czyją szkodą.

DOBRE ŻYCZENIE.

Odkryłeś głowę, że tak słońce grzeje;
Nakryj, zmiłuj się, by się co niestało.
Łatwo rozum wywietrzeje,
A i tak masz go już mało.

ŻAL GORZKI.

Umarł Soter.— Co mówisz? ten człowiek tak młody,
Soter, co wszędzie słynął z dowcipu, z urody?
Ten sam, nad jego śmiercią wyleją lez wiele.—
Ach! Rodzice zapewne?— Nie— Któż?— Wierzyście.

STRZAŁY KUPIDA.

W ten czas, kiedy robiono strzały dla Kupida,
Każdy bóg coś swego przyda,
Jowisz dał im mocy tyle,
Że ten, kto niemi raniony,
Gdy wzajemnie ulubiony,
Słodko spływają mu chwile.
Merkury, poseł bogów, nadzieję w nie włożył,
Czas zaś, by się także wstawił,
Przykrą boleścią nasrożył,
I końce jadem zaprawił.
Dotąd się spełnia skutek téj roboty;
Bo kto przeszyty miłosnemi groty,
Cieszy się z zadanej rany,
Jeśli wzajemnie kochany.
Jednak powoli, powoli,
Coraz bardziej rana boli,
Jeśli go zaś los srogi nadziei pozbawia,
Gorycz mu życie zaprawia.

NA PŁACZ DZIECIĘCIA
NOWONARODZONEGO.

Ledwie na świat przyszedłeś, Hijacyntku mały,
Tu się cieszą, a ciebie smutne lzy zalaly:
Oby! gdy cię okropna śmierć do grobu schyli,
Tyś się tylko sam cieszył, a wszyscy smucili.

WIERSZ

Z POWODU RADOSNYCH ŁEZ, KTÓRE PRZYBYCIE MAMY
JUSTYNIE MAŁEJ Z OCZU WYCISNĘŁO.

Dajcie mi lutnię, brzęknę i zanucę,
Placz wam opieję, jednak niezasmucę;
Godne pamięci, jak małej Justynie
Z radości czuła łza płynie.—

* * *

„Mama jest twoja”! ktoś jej rzekł z bliska,
Biegnie naprzeciw, w polocie,
Rzuca się na pierś, za szyję ścisła,
Całusków niesie jej krocie.—

* * *

Jak pączek róży rosą zwilżanej,
Szkarłatne wdzięki rozwija,
Tak na jej twarzy łzami oblanej
Piękny rumieniec przebija.

* * *

Roskosz te czule łzy jej wyciska,
Uciechę karmi się sama;
Wszędzie zdrój szczęścia dla niej wytryska,
Niema to niema, jak z Mamą.

* * *

Jednak, Justyno, miej to w twój duszy,
Wszystko cios czasu obali:
On twardy marmur i mury kruszy,
On cię od Mamy oddali.—

—————

PIEŚŃ
MŁODEJ PASTERKI

DO
MYŚLIWEGO.

Nadobny młodzieńcze,
Porzuc groźne zbroje,
Kwiatem cię uwieńczę,
Dam ci serce moje.—
Co ci winne ptaszki,
Że im niesiesz zgubę,
Dla marniej igraszki
Bierzesz życie łube.—

Wolisz na tej łące,
Rwać kwiaty pachnące,
I obok kochanki
Piękne paść baranki.—
Porzuc groźne zbroje,
Dam ci serce moje,
Bo się twojej zbroi
Moje serce boi.—

Pod cieniem drzewiny
Usiędziemy sobie,
Ławeczkę z darniny
Własną ręką zrobię.
Porzuc groźne zbroje,
Otrzęj z znoju czoło,
Zostanmy oboje,
Będzie nam wesoło.

Czy widzisz gołębie
Na wysokim dębie?....

W nich ma wzór prawdziwy
 Kto chce być szczęśliwy,
 Ach! wierzaj pasterce,
 Tylko dobre serce,
 I uczucia tkliwie;
 To szczęście prawdziwe.—

Odwiędzisz mą chatkę
 Skromną i ubogą;
 Lecz tam znajdziesz Matkę
 Sercu memu drogą.
 W pościeli spoczywa,
 Z wonnych ziół usłanej,
 Czeką niecierpliwa
 Córki ukochanej.—

Spoczywa od wczora,
 Bo nieboga chora;
 Niewiem co się stało,
 Śpi i jada mało.—
 Porzuć groźne zbroje,
 Poznaj Matkę moję;
 Nad wszystkie roskosze
 Jój widok przenoszę.—

Przyjąć czém niemamy,
 Nad mleko i séry,
 Ale ci to damy
 Z naszej chęci szczerój.—
 Znajdziem trochę chleba
 Dó séra i mléka:
 Ale czyliż trzeba
 Więcej dla człowieka?.....

Porzuć groźne zbroje,
 Przyjmij chęci moje;
 Bo, piękny młodzianie,
 Serca mi niestanie.

Odpowiesz przed Bogiem,
 Żeś mi się stał wrogiem;
 I żeś jest przyczyną,
 Tych łez, co mi płyną.

Jeszcze dla nikogo
 Nieuczula tyle,
 Przeplaciłam drogę
 Jedną małą chwilę.
 Jedną małą chwilę,
 W której cię ujrzałam:
 Jeszcze w życiu tyle
 Nigdy niecierpiałam.

Porzuć groźne zbroje,
 Przyjmij serce moje;
 Zostań w tej dolinie,
 Przy tklivej dziewczynie.
 Poznasz w krótkiej chwili,
 Że tak jest żyć mili,
 Jak dla czezej igraszki
 Strzelać biedne ptaszki.

B A J K A.
 Z ŁACIŃSKIEGO.

Gdy schwytanego wilka niegdyś w gęste sici,
 Zabić chcieli wieśniacy, za krzakiem ukryci,
 Przysięgał, iż już nigdy jeść mięsa niebędzie,
 Tylko zióła, lub ryby, lub gorzkie żołędzie.

I tak od bliskiej śmierci gładko się wywinął;
 Lecz ledwie wszedł do lasu i kilka drzew minął,
 Zobaczył chciwém okiem, jak się wieprz spasiony,
 W czarném kałuży błocie chłodził zanurzony.
 Ach! to jest pewnie ryba! z radością wykrzyka,
 Skacze na wieprza, szarpie w sztuki, i połyka.
 Gdy kto źle czyniąc święte cnoty prawa zrywa,
 Nigdy mu na pozorniej wymówce niezbywa.

WIĘRSZ IMIENIEM DZIECI

DO

PRZYJACIELA DOMU W DZIEŃ IMIENIN.

Gdyśmy światło słoneczne pierwszy raz ujrzeli,
 Obok Mamy i Papy ciebieśmy widzieli,
 Tyś z niemi radość dzielił, z naszego przyhycia,
 I zacząłeś nas kochać przy wstępie do życia.
 Minęły szybko lata: jakież wszędzie zmiany?
 A ty jednak nas kochasz i jesteś kochany,
 I dziś, gdy uroczystość obchodzisz Imienia,
 I rodzice i dzieci noszą Ci życzenia,
 Obyś tyle codziennie doznawał słodczy,
 Ile z nas każdy czuje, kiedy Ci ich życzy,
 Oby Cię wszyscy w świecie tak, jak my, kochali,
 Bo ci godni są szczęścia, co w przyjaźni stali.

POEZYZJA.

stronica

Wyjątek z oryginalnej komedyi, Oryginały . . .	123
Bajka Gołąb i Kura	28
Zmarły Rekrut - - - - -	52
Na Makarego Gadułę	52
Sokrates przed wypiciem trucizny, przez Win- centego Cyprysińskiego - - - - -	82
Oda 32. z Horacyjusza ks: I. przekład Julijana Polańskiego - - - - -	84
Pieśń XV. Anakreonta, przekład z Greckiego -	84
Duma, Przyszłość, przez A... Z.... - - - - -	85
Nauka starca z Foigta, przekład A. Z... . . .	168
Nicowana Eneida	170
Powinszowanie Jmienia, przez W. Cyprysińskiego	176
Bajka, Sroka	177
V. idziałem.... przez Józefa Rutkowskiego . . .	179
Z trajedyi Sofoklesa, Filoktetes, przekład A. Z....	184
Wezbranie Wisły, Ballada przez A... Z.... . . .	189
Umiągający dłużnik, z Langbajna	192
Śpiew do Przyjaźni, naśladowany z Niemiec- kiego	193
Podróźny mędrak, z Langbajna	196
Na Gadułę, z tegoż	197
Na pieczeniara potwarcę, z tegoż	197
Dobre życzenie	197
Żal gorzki, przez Józefa Rutkowskiego	197
Strzały Kupida, przez St. Jaszowskiego	198
Na płacz dziecięcia nowonarodzonego, przez Jó- zefa Skowrońskiego	198
Więrsz z powodu łez radosnych, przez Seb. Ja- nuskiewicza	199
Pieśń młodej pasterki do myśliwego, przezwacza	200

	strona
Bajka Wilk, z Łacińskiego, przekład Kaj: Słama	2
Wiérz imieniem dzieci, do przyjaciela domu w dzień Jmienin	2
Do mojej małej córki	2
Burza, z Eneidy, księgi I. przekład J... P.....	2
Bajka z Langbajna, dwie Muchy, przekład A. Z.	2
Niepojęty, Legiendy, przez A... Z...	2
Oda 16. księgi II. Horacyjusza <i>Otium divos</i> , tłu- maczenia St. Trembeckiego	2
